Nr. 2 Rok 4 Kraków, dnia 10 stycznia 1943. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI





NAPRZÓD! ZA MNĄ!

Dowódca oddziału wywiadowczego niemieckiej policji, która bierze udział w walkach na wschodnim froncie, wzywa swych kolegów do ataku.

RYS. P. K. SCHLEICHER — SCHERL



ATAK SAMOLOTÓW

Niespodzianie wynurzając się z chmur, zaatakowały niemieckie samoloty bojowe, angielską baterię i zarzuciły ją bombami i gradem kul z karabinów maszynowych

Atak ten przeżył w samolocie i uwiecznił rysunkiem sprawozdawca wojenny Dudda — Scherl

UGODZONY TRANSPORTOWIEC

Podczas ataku niemieckich samolotów „Stuka" na konwój aliantów na Morzu Śródziemnym ugodzono celnie transportowiec, wiozący ładunek amunicji.

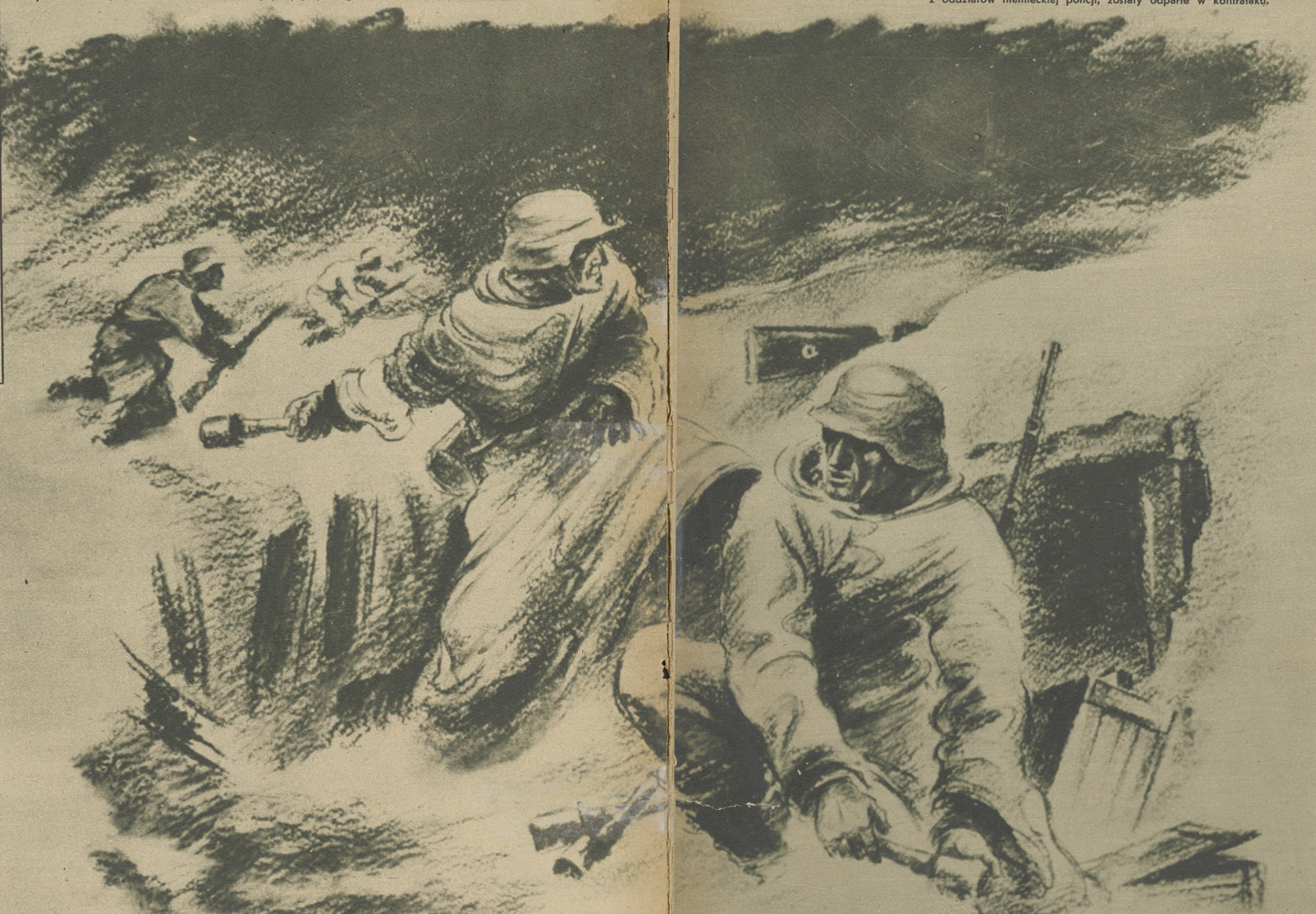
RYS. P. K. DUDDA — SCHERL



POBICI W KONTRATAKU

Wojska sowieckie, które nadaremnie atakowały pozycje jednego z oddziałów niemieckiej policji, zostały odparte w kontrataku.

RYS. P. K. KATZMEIER — SCHERL

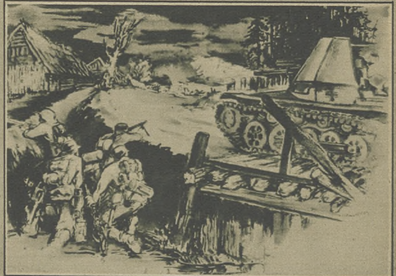




USUNIĘCIE RANNYCH Z LINII OGNIA

Dramatyczny ten obraz naszkicował, w czasie ataku, rysownik fiński. Podczas gdy wojska fińskie ruszają do ataku, wśród gradu pękających granatów sowieckich, sanitariusze fińscy, w łodziach gumowych, uwożą rannych z placu boju.

RYS. P. K. KOPENEN — SCHERL



ODDZIAŁ SZTURMOWY W ROWIE PRZECIWPANCERNYM

Wzdłuż całej wsi wykopali bolszewicy rów przeciwpancerny. W rowie tym, niemiecka piechota, posuwa się naprzód pod osłoną czołgów szukając dogodnego przejścia.

RYS. P. K. HENSELLEK — P. B. Z.

Szkice z frontu

RYSUNKI NIEMIECKICH I FIŃSKICH SPRAWOZDAWCÓW WOJENNYCH ODTWARZAJĄCE FRAGMENTY WALK NA PODSTAWIE ICH WŁASNYCH PRZEŻYĆ



ATAK PIECHOTY I SAMOLOTÓW

Piechota niemiecka wspierana przez działa przeciwlotnicze i samoloty typu „Messerschmitt" rusza do szturmu na pozycje sowieckie przechodząc obok płonących czołgów bolszewickich. Bardzo charakterystyczny obraz z obecnych walk na Wschodzie.

RYS. P. K. SENNIG — SCHERL



SPRAWOZDAWCA WOJENNY

broni ʃʃ, którego zdjęcia ukazały się w niemieckim tygodniku wojennym, filmuje atak na czołgi sowieckie.

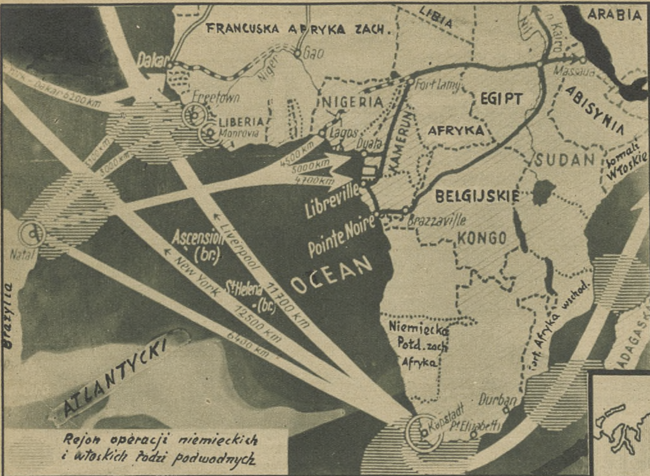
RYS. ʃʃ P. K. KRAUSE — SCHERL

W ROKU 1942 ZATOPIONO ALIANTOM 7 955 000 TONAŻU HANDLOWEGO

Niemieckie siły zbrojne zatopiły w roku 1942 spośród brytyjsko-amerykańskiej floty handlowej: jednostki marynarki wojennej 1283 statki handlowe o łącznej pojemności 7 955 000 ton, z czego 1208 statków o łącznej pojemności 7 568 500 ton zatopiły łodzie podwodne. Formacje lotnictwa zatopiły 167 statków handlowych o łącznej pojemności 385 000 ton.

Tym samym marynarka wojenna i lotnictwo zniszczyły łącznie w ubiegłym roku 8 940 000 ton. Poza tym marynarka wojenna uszkodziła 149 statków, a lotnictwo 301 statków. Należy się liczyć z całkowitą stratą także części i tych statków.

Wskutek działań bojowych marynarki wojennej w miesiącu grudniu 1942 roku zatopiono 78 statków o łącznej pojemności 447 800 ton, z tego 72 statki o łącznej pojemności 341 300 ton zatopiły łodzie podwodne. Łącznie z sukcesami niemieckich nadwodnych sił zbrojnych zakomunikowane w miesiącu grudniu sukcesy niemieckiej marynarki wojennej, uzyskane przy zatapianiu statków, wynoszą 109 statków handlowych o łącznej pojemności 634 800 ton. Marynarka wojenna uszkodziła 10 statków, a formacje lotnictwa 18 dalszych statków. Spośród okrętów wojennych podwodne i nadwodne siły zbrojne zatopiły w grudniu jeden krążownik, 9 kontrtorpedowców, jedną korwetę, dwie łodzie podwodne, oraz jedną jednostkę ubezpieczającą, a lotnictwo jeden kontrtorpedowiec i jedną jednostkę konwojującą.



MAPKA DRÓG MORSKICH ALIANTÓW DOKOŁA AFRYKI, Z ZAZNACZENIEM ODLEGŁOŚCI MIĘDZY PORTAMI — W KILOMETRACH



MAPKA PRZEDSTAWIAJĄCA WIELKOAZJATYCKIE POSIADŁOŚCI JAPONII, KTÓRE CZYNIĄ JĄ POD WZGLĘDEM GOSPODARCZYM WSZECHSTRONNIE NIEZALEŻNĄ I NIE DO ZDOBYCIA

NA SZLAKACH KONWOI

Poniżej: **NA STRAŻY** Wyławiacze min przeszukują bez względu na pogodę, drogi wjazdu do portu i utrzymują dla okrętów operujących na pełnym morzu dogodny wjazd do portu.

Fot. Atlantic 2 PK. Seybold P.B.Z. 1



POŁUDNIE FRANCJI

Nad Morzem Śródziemnym leży t. zw. Poludnie Francji. Wokolo nad wybrzeżem widać oliwkę i cyprysy, nawet palmy. Na pagórkach Langwedocji i w dolinach Prowancji kwitną pola i ogrody przetkane winnicami. Zasłonięte przed zimnymi wiatrami północnymi, strome stoki Alp tworzą sławną francuską Riwierę z licznymi wodami mineralnymi, malownicze pod względem piękna krajobrazowego. Z tych najstarszych krain Francji, pełnych pamiątek rzymskich, prowadzi na północ jedna z najwspanialszych dróg — dolina Rodanu i Saony. Kasztan jadalny i drzewo morwowe znaczą tu klimatyczne wpływy południa. Wszędzie kwitnie hodowla jedwabnika, a przemysł jedwabniczy koncentruje się w Lyonie.

Jakaż jest ludność zamieszkująca krainy Południa Francji?

Wiadomo, że Francuzi są mieszaniną ludów różnego pochodzenia, które do dziś dnia zachowały częściowo obyczaje i mowę datującą się z różnych epok minionych. Podczas gdy na zachodzie przeważają wpływy frankońskie, na północy flamandzkie i bretońskie, na południowym zachodzie baskijskie i katalońskie, to na poludniu i poludniowym wschodzie przeważają wpływy romańskie i włoskie. Przeciętny Francuz jest zapobiegliwy i pracowity, dbały o wygodę życia codziennego, lubiący dobrą kuchnię i niemal od zarania życia myśli o tym, jak zabezpieczyć sobie wygodną i spokojną starość. Kult rozumu, przebija w planowości jego roboty, w organizacji pracy, którą cechuje wielka ekonomia nie tyle sił, ile raczej środków.

Małe odchylenia w charakterze zachodzą pomiędzy wieśniakiem i mieszkańcem wielkiego miasta. I tak np. mieszkaniec Marsylii przez nieustanne stykanie się z ludźmi różnych narodowości jest bardziej podatny na obce wpływy, aniżeli wieśniak spod gór Jura lub właściciel winnic z Côta d'or.



UPRAWA WINNEJ LATOROŚLI rozpowszechniła się dzięki pracy ludzkiej z nad Morza Śródziemnego aż po linię Nantes—Reims—Metz, poza którą wilgotny klimat jej już nie puszcza.



UROCZYSTOŚĆ WINOBRANIA Na zdjęciu widzimy orkiestrę wiejską z Cote d'or w ciekawych strojach i z jeszcze ciekawszymi instrumentami, która podnosi uroczysty charakter święta.

Fot. Sammlung Seiler



TANIEC LUDOWY Z DOLINY RODANU, którym zarządy kąpielowe starają się umilić pobyt gościom.



GÓRY JURA Pasterstwo, a z nim połączone serownictwo, jest głównym zajęciem tamtejszej ludności.

NEJIKO SUWA



PRZYJACIÓŁKI Pani Tanaker i Nejiko Suwa w towarzystwie Viktora de Kowa i Michaela Raucheisena.

Fot. Ahrweiler-Allantic

Nejiko Suwa to nazwisko słynnej japońskiej skrzypaczki, która już od piątego roku życia wodzi smyczkiem po swoim ukochanym instrumencie. Pierwsze laury zbiera jako ośmioletnia dziewczynka, gdy daje pierwszy koncert. Jest on początkiem długiego łańcucha koncertów, ugruntowujących jej sławę nie tylko w kraju rodzinnym, ale i w Europie. Obecnie artystka przebywa w stolicy Rzeszy Niemieckiej u swojej przyjaciółki, znanej śpiewaczki, Mijiko Tanaker.

Nejiko Suwa, jak również jej przyjaciółka są wielkimi miłośniczkami kwiatów. Przepiękne orchidee i niezliczone kosze i bukiety w jej mieszkaniu świadczą o wielkim powodzeniu scenicznym, jakim się cieszy artystka w Berlinie. Spośród wszystkich kompozytorów Nejiko Suwa ukochała najwięcej utwory Beethovena, Brahmsa i Schuberta. Artystkę cechuje wielkie skupienie wewnętrzne i nadzwyczajna subtelność uczuć, rysów i ruchów, spowodowane stałym kontaktem z muzą. Ona nie żyje dla muzyki, ale muzyka jest jej życiem.



PO SKOŃCZONEJ GRZE

Ostatnia nuta zamiera na strunie, skrzypce opadają, ale artystka długo jeszcze przeżywa przebrzmiałą melodię.

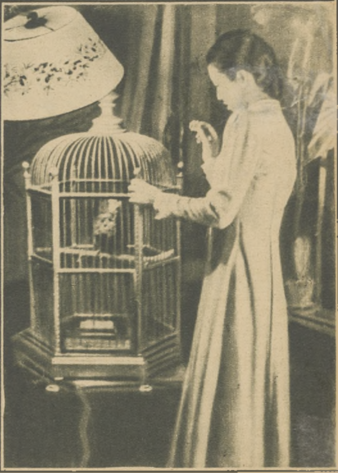


RĘCE SKRZYPACZKI

Czym dla czarodzieja różdżka, tym są dla skrzypaczki jej ręce. Każde ich drgnięcie wydobywa z martwego na pozór instrumentu dźwięki, odrywające słuchacza od codzienności. Ręce rzeźbiarza i ręce skrzypaczki mają tę wspólność, że uszlachetniają człowieka, jedne uszlachetniają jego ciało, a drugie duszę.



WYPOCZYNEK PO PRACY Dobra książka obok muzyki i pani Tanaker jest najlepszym przyjacielem Nejiko Suwa.



MAŁY PRZYJACIEL

Oprócz kwiatów artystka kocha maleńkie ptaszki.

PRZYPRZĄG

L. BUDAK — tłumaczył z chorwackiego Podmajerski

Niebo było pochmurne i mroczne. Chwilami pokazywały się zarysy kręgu słońca, które już chyliło się ku zachodowi. Wszystko było tajemnicze, święte i spokojne, tylko tu i ówdzie słychać było świergot przestraszonych ptaków, chrzest gałązek, lub głos pastucha:

— Na, łaciata, na!

I znowu spokój. Potem leniwe, zaspane szczekanie psów zza opłotków i znowu spokój.

— Na, pstrokata! Na, łaciata! — słychać było od czasu do czasu z różnych stron zarośli podwelebitskich, pomieszane ze zbrzękiem brązów i dźwiękiem dzwonków.

Marysia siedziała obok drogi przy wielkim ognisku i robiła pończochę. Było już zimno. Późna jesień. Co chwilę wstawała i popatrywała za bydłem.

— Na, łysa! No, gdzie leziesz?!

Robiła dalej i coś nuciła. Była rosłą, zgrabną dziewczyną około osiemnastu lat. Policzki jej pełne, a piersi rozwinięte i zaokrąglone. Wszystko na niej pękało od zdrowia i krwi.

— Na, winocha, na!

Zostawiła robotę, ręce mocno zacisnęła na podołku i coś się zamyśliła. Długo tak rozmyślała, aż przerwał jej skrzyp naładowanych wozów.

— Wio, mały! — słychać było chrapliwy głos.

Gdy się ku niej nieco zbliżyli, poznała po wielkich blaszkach bronzowych u końskiej uprzęży i po ubiorze, że to woźnice od Gospicza. Jechało z dziesięć — dwanaście wozów naładowanych ziemniakami, rzepą, jabłkami, ćwikłą i inną jarzyną. Wiozą to wszystko do Zadaru, a stamtąd znowu powiozą wino, oliwę, figi i wódkę. Konie powoli i ciężko poruszały nogami, jak gdyby po każdym mocnym postawieniu kopyta chciały nieco odpocząć. Wozy skrzypiały, jakby się miały zetrzeć, a woźnice szli obok nich spluwając, paląc fajki i pokrzykując jeden do drugiego krótkie zapytania i odpowiedzi. Wszyscy byli dobrze omotani, ubrani w sukienne portki, potrójne obuwie, kożuchy, kapoty i wielkie brunatne gunie [1], a koło szyi u każdego z nich kilka razy zawinięty wąski a długi wełniany szal.

— Zawieje nas dziś w nocy w Kraljicy.

— Ja się też boję. Idzie kurniawa.

— Lada chwila uderzy.

— Wio, kary! Nie ustawaj!

— Nie przejedziemy żywi przez Velebit.

— Dlaczego by nie? Jak nie przyjdzie burza, to wszystko będzie dobrze!

— Ho, mój bracie, nie trza nawet Boga prosić, bo już idzie.

Gałęzie drzew poczęły się już gwałtownie zwijać pod coraz to silniejszymi uderzeniami wichru.

— Nie nasze głowy!

— Żebyśmy tylko uciekli przez Próg!

— Wio, mały! — Żeby choć na Halan się dostać, to kto by tam pchał się pod Próg!

— Źle!

— Konie mi nie wyciągną na Velebit — rzecze najmłodszy z nich. Nazywali go Luką.

— Poszukamy przyprzęgu.

— E, Boże, przydałby się już teraz! — Wio, mały! Nie leń się, gadzie jeden! — Gdybym był wiedział, że tak będzie, byłbym wziął przyprząg w dole, w Świętym Rochu. Teraz za późno.

— Może się kto trafi.

Marysia robiła dalej pończochę i co chwilę poglądała ku woźnicom. Bydło rozeszło się dalej, a ojciec jej, Jerko, stał na drodze obok wozu naładowanego drzewem.

— Idź-no, Maryś, przyprowadź konie. Czas wracać.

— Słońce jeszcze dość wysoko.

— Muszę się pośpieszyć.

— Chodź się jeszcze zagrzać, a potem i ja popędzę bydło.

Jerko podszedł ku niej i usiadł przy ognisku, wyciągnąwszy ręce przed siebie i obracając nimi nad ogniem.

— Dalibóg, będzie dziś w nocy zając szukał matki.

— Zimno będzie.

— E, nie bój się.

Znowu milczeli. Jerko patrzył, jak woźnice zbliżają się ku nim powoli, noga za nogą, — i milczał, popatrując co chwilę na niebo i na wschodnią stronę Velebitu.

— Zapłacą głową — rzecze jakby sam do siebie.

— Kto?

— Woźnice. Idzie kurniawa, a oni pomału się ruszają.

— I sroga będzie burza.

— E, nie wyjdą oni na tym dobrze. Diabeł by nie przeszedł przez Kraljicę na taki czas za dnia, a cóż dopiero w nocy!

— Mogą zanocować na Halanie.

— Przecie nie wtłoczą wozów i koni gajowemu do izby.

— Do stajni.

— Nie pleć. Co znaczy taka klitka na tyle koni!

— Wio, mały, wio! — krzyczał młody woźnica Luka strzelając z bicza i potrząsając lejcami, a jego konie powoli się poruszały. Przystawały co chwilę z ciężkim wozem i oglądały się, jakby wypatrywały od kogoś pomocy.. Dyszały ciężko roztwierając nozdrza szeroko.

— Wio, lisek! Żeby cię diabli wzięli!

Liskowi ustawały przednie i zadnie nogi, prężyły się żebra i wydymały boki.

— Nie wyciągnie.

— I ja się też boję.

— Nawet boginki nie wyniosłyby ich, choćby nawet była lepsza pogoda.

Gdy się zbliżyli do Marysi i Jerka, pierwsze konie same stanęły, a reszta za nimi.

— Nuże, wio! — wołali woźnice więcej ze zwyczaju niż z potrzeby.

— Pochwalony Jezus Chrystus, pobratymie!

— Na wieki wieków, zuchy! Ciężko wam? — odparł Jerko.

— Ciężko, jak diabli! A pogoda szkaradna! — rzecze najstarszy.

— Będzie śnieg. Lada chwila — mówił Jerko jakby sam do siebie, podczas gdy Marysia robiła drutami coraz to prędzej, jak gdyby nikogo obok niej nie było.

— A dlaczegoż-ście, ludzie, nie zanocowali u Tomiszy.

— Ba, wydawało nam się za wcześnie.

— E, bracie, diabelna robota jechać w taką noc choćby i gdzieindziej, a cóż dopiero przez Kraljicę!

— Ja nie będę mógł wyjechać — odezwał się Luka.

Głos miał delikatny jak dziewczyna. Marysia spojrzała na niego, poczerwieniała trochę i podjęła dalej swą robotę.

— Jak-em żyw, nie wiem, co zrobić. — Zawieje mi dziecko.

— Nie bój się, pobratymie — rzecze Ive. — Wszyscy będziemy na nią uważać.

— Maryś, chcesz jechać? — spytał ją Jerko.

Marysia opuściła ręce na łono, spojrzała najpierw na Lukę, potem na ojca.

— Zasypie mnie — odparła.

— Taka dziewucha i boi się zimna!

— Nie boję się i nie nowina mi zmarznąć, ale przyjdzie kurniawa i nie będę mogła wrócić z powrotem.

— To jedźcie wy, kumie — rzecze któryś z woźniców.

— He, moi ludzie! W taki czas nie mogę ni do stajni, a cóż dopiero gdzieś dalej. Kiedym był młody, nie ociągałem się. Ale teraz już nie mogę. Syna poniosło w świat, to wszystko spadło na to dziecko.

— A gdzież wasz syn?

— Diabli go wywiedli, niech go Pan Bóg ma w swojej opiece — rzecze Jerko gniewnie.

— W Ameryce jest?

— A juści, diabli go tam ponieśli.

— No... więc jak?

— Dlaczego nie wyjedziesz? Konie masz słabe? — spytał Jerko.

— Słabe nie są, ale drobne, diabli ich nadali.

— Na oko ładne bestie — rzecze Jerko podszedłszy do koni. Poklepał je ręką, praworęcznego ujął za szczękę i popatrzył mu na zęby.

— Młody jeszcze.

— Ale wałach. Pomału się rusza i pioruny nawet nie zmusiłyby go, żeby co ciągnął, gdy mu burza lub wiatr przeszkadza.

— To źle. A w takim razie nie pchaj się w górę. Wróć do Świętego Rocha.

— Nie będę wracał, choćby nawet oba miały zdechnąć! Ale możebyście mi, kumie, mogli dać przyprząg?

— Hm... Czy ja wiem, — rzekł Jerko i podrapał się po głowie.

— Jeśli masz konie, to daj jednego, jeżeli w Boga wierzysz.

— Konie niby są tutaj, ale nie wiem. — Naładowałem drzewa, żeby zawieźć do chałupy.

— Z góry na dół możesz zwieźć i jednym.

— Czy ja wiem?... Nie łatwo to, moi ludzie, dać swoje zwierzę i swoje dziecko na taki czas.

— Nic im nie będzie, jak Bóg da.

— E, Kraljica to diabeł, niech ją licho porwie — rzekł Jerko drapiąc się po głowie.

— Albo najlepiej będzie, jak wrócicie.

— He, juści! — odezwał się najstarszy woźnica Ive. — Teraz już nie będziemy wracać, niech będzie, co ma być.

— Przypłacicie głowami.

— Inni też już tak jeździli i nic się im nie stało.

— Nie puszczajcie mnie tak — prosił Luka.

— No, chodź, dziewucho, na twoje szczęście — mówił do niej Luka.

Marysia spojrzała na niego spod oka. Spodobał się jej i było jej go żal. Wie ona, co to znaczy iść z wozem przez Velebit o tej porze roku.

— No, to pójdę, jak tata każe.

— To idź! — rzecze Jerko. — jak nie pójdziesz, zginą i człowiek i konie. Nic ci nie będzie.

— A cóż by jej miało być?! Taka dziewucha!

— E, daj spokój. Ja też nie jestem z kamienia, ale pójdę. Nieraz już tak chodziłam i nic mi się nie stało.

Jerko dał jej swoją długą brunatną gunię i zaprzągł swego konia do wozu Luki jako trzeciego.

— Maryś, rany Boskie, wracaj z Halana do domu.

— Dobrze, dobrze — rzekła wesoło. Wyglądała na włos jak inni woźnice, tylko że ci mieli czapki, a ona wielką wełnianą chustkę. Gunia sięgała jej do pięt. Rzekłbyś, że to ładny jakiś, czerwony i średniego wzrostu chłopak ze żartów przywdział chustkę na głowę.

— A czy nie mogłaby ona z nami aż pod Próg?

— Nie potrzeba, bracie. Dasz se sam łatwo rady.

— Ho, łatwo! Kiedy prawego sam Pan Bóg nie namówiłby, żeby trzymał wóz, a cóż dopiero, żeby go ciągnął w czasie burzy i niepogody.

— No, ja nie wiem... — mówił Jerko i drapał się po głowie.

— Jak tak, to nie trzeba mi ni do Halana — mówił dalej Luka.

— No, jak już nie ma innej rady, to niech jedzie. Chcesz, Maryś?

— Chcę. Ale w takim razie nie będę mogła wrócić do dnia.

— Żebyście tylko do dnia byli pod Progiem, to będzie dobrze, a do domu wracaj na południe.

— Wio, kary! — zawołał pierwszy woźnica i strzelił z bicza.

— Maryś, rany Boskie, trzymaj się wozu i uważaj na burzę! — wołał stary Jerko za nimi. — Przeżegnaj się.

— Nie bój się o mnie. To nie pierwszy raz.

— A uważajcie, ludzie, i wy na nią!

— Nie trza nam mówić, bracie! Będziemy na nią uważać jak ty sam.

— Wio, lisek! Widzicie go!...

— Wiśta! Hej mały!

Wozy ruszały pomału przy głośnym skrzypie kół, a Jerko stał chwilę, patrzył za nimi, potem zaprzągł swego pozostałego konia, powypędzał bydło z krzaków i ruszył do domu.

— Wio, lisek, ty leniu! — wołał Jerko co chwilę, a jego lisek ciągnął powoli, ale pewnie.

— Na, łysa! Gdzie leziesz z drogi, diabli cię nadali! — gniewał się na bydło, które jakoś nie chciało iść drogą, tylko przystawało i obgryzało gałązki.

— Zawieje mi dziecko, rany Boskie! — pomyślał idąc powoli obok wozu. — Choć, przecież nie dziwne jej, nauczona. Będzie zresztą, co Bóg da. A i gospiczanie nie są źli ludzie.

— Wio, lisek, nie żartuj!

— Na, łysula, na!

II.

Nie minęło ani pół godziny od chwili, jak woźnice rozstali się z Jerkiem, gdy poczęły padać wielkie i suche płatki śniegu.

— Wio, mały!

— Nie dojdziesz żywy pod Próg.

— E, co Bóg da!

— Wiśta, hej wronek!

Jechali stopa za stopą, a pogoda pogarszała się z każdą chwilą. Nie było to dla nich jeszcze zbyt wielką przeszkodą, gdyż wzdłuż drogi ciągnął się wielki i gęsty las. Wysokie, stuletnie buki, a wśród nich młode i gibkie buczki. Wszystko trzaskało, gałęzie plątały się i łamały, a konie nieufnie wyciągały uszy i przystawały.

— Wio, kasztan, przecie nie pierwszy raz!

Burza wyła i rzucała im śnieg w oczy.

— Nie zimno ci, Maryś? — pyta ją Luka.

— Co ta o to. Nie porwie mnie!

— Nie bój się, biedna. Mocna jesteś, zdrowa jesteś, młoda jesteś.

Co chwilę poczynał z nią coś mówić, aby tylko nie szli tak w milczeniu jedno obok drugiego.

— A ten... Maryś, twój brat... długo już jest w Ameryce?

— Długo. Już ósmy rok.

— A przysyła co?

— Jużci, przysyła...

— Wio, mały!... A nuże! Nie przysyła, mówisz?

— Nie przysyła. Z początku przysyłał trochę, a potem nic. Gdy się tata pogniewał, on napisał po żonę i dzieci i przysłał im na drogę, żeby przyjechali do niego.

— Dużo ma dzieci?

— Dwoje. I pojechali wszyscy.

— Wiśta, hej, wronek... A wiesz, byłem tam i ja pięć lat i wróciłem.

— I lepiej. A zarobiłeś co?

— Diabła starego. Co zarobiłem, to przegrałem w karty i przepiłem. I tak... Spotkało się nas z dziesięciu, to zaraz „tritaj".

— Jak to?

— A tak. Diabli nadali! — Wio, mały! — Najpierw płaci jeden wszystkim kolejkę, potem drugi i tak dalej, dopóki wszystkich nie obejdzie wkoło. A potem znów na nowo. To się nazywa „tritanje". I potem tak po pijanemu dalej w karty!

Marysia patrzyła wielkimi, szeroko otwartymi oczyma. Wydawał się jej jakimś miłym i drogim. Podoba jej się, ale jej to właśnie ani zbytnio nie niepokoi, ani nie weseli. Cóż to, że się jej podoba obcy chłopak? Nie wyjdzie pewnikiem za gospiczanina, a pewnie i on nie taki głuptas, żeby aż tutaj chodził po dziewuchę, kiedy ich ma dosyć i w swojej wsi. Znajdzie się już i dla niej chłopak, ale — podoba się jej Luka.

— Wio, wronek! Bodaj cię wilki zjadły!

Gdy dotarli do Markovca, była już gęsta noc i ciemno jak w rogu. Nie było nic widać, choć oko wykol, a burza z każdą chwilą stawała się coraz to większa, silniejsza i groźniejsza, śnieg padał coraz to gęściej i pokrył już drogę na wysokość kierpca.

— Uha! — zawołał pierwszy woźnica i zatrzymał konie, a wszyscy inni za nim. Zebrali się koło Marysi i Luki.

— Nie dojedziesz, człowieku, żyw do granicy.

— E, diabli się urwali!

— Do granicy to dotrzemy, ale dalej diablo ciężko pójdzie po tamtej gołej skale w taką burzę.

— Jeśli tutaj tak dmie, to jak tam dopiero musi dąć na Kraljicy!

— Źle, bracia! — rzecze Ive. Wszyscy uważali go jakby za jakiego proroka, lub przynajmniej za księdza, a nazywali go strykiem.

— Od małego chłopca przechodzę przez Velebit — mówił dalej — już ze czterdzieści lat, a pamiętam tylko dwa razy taką burzę na naszej stronie. Mówię wam, ludzie, stracimy głowy. — Zapalno, Luka, latarnię.

Wszyscy milczeli zamyśleni i patrzyli przed siebie. Przy świetle świecy nie widzieli nic dalej jak na trzy kroki.

[1] Kurtka góralska.

Trzej Królowie

Przed nami płynnociche naprzełaj — pobielone księżycem bezdroże,
pociemniałe w bezkresie „daleko" i na niebie mlecznej drogi okiść
i tak dziwnie przestrzennie, szeroko — jakby świat się u nóg nam położył —
— że wystrzelić się tylko przed siebie i przemierzyć go w pędzie na kroki.

Błękitnieje coś w nas i rozpręża zwykłą, znaną codzienność i szarość,
myśl rozprysła się w milion migoceń i „Nieznane" przeczuciem oprzędła.
Stoimy wsparci cieniem o ziemię, ogarnięci, szaleni bezmiarem
rozedrganej, bezścieżnej laguny i czekamy kto powie nam: — tędy!

Serce wtłacza sekundy do gardła i na chwilę rozbija odległość,
niebo gniecie nam barki ogromem i rozciera na jasność i nicość.
— Coś zatliło się, błysło, wybuchło, poprzez piersi bezgłośnie przebiegło
i zawisło promiennie przed nami — jak znicz w ciemnym półmierzchu kaplicy.

— Upokorzyć się chcemy przed siłą co z dalekich wyrwała nas krain
i tęsknotą minionych pokoleń na wędrówki rzuciła nas bezkres.
— O Ty! Wielki! coś nasze oplótł ślady i przez obce prowadził rozstaje
odezwij się! Wskaż drogę najprostszą — bo pragniemy już wiedzieć że jesteś!

... I z bezliku rozsianych nad nocą, migoczących bezprzerwnie gwiazd Bożych
oderwała się jedna, największa, błyskawicą opadła na ziemię,
by się smugą szerokoperlistą u stóp naszych bezszmernie położyć —
niby drogą wykutą przez światło w jednostajnej szarości półcieni.

Stanęliśmy zdrożeni i cisi na przedprożu ubogiej stajenki,
trud nasz w rzewną rozpłynął się radość i uśmiechem na ustach nam zakwitł:
— oto do nas tak ufnie, serdecznie wyciągnęły się rączki maleńkie
i objęła dziecięca spojrzenie oczu wielkich i czarnych jak grafit.

Nie czujemy nic więcej nad wiarę, że przyszliśmy najprościej,
gdzie się Prawda i Miłość bezmierna z przeubogą złączyła prostotą;
— Tyle wieków tęskniło w modlitwach do narodzin tej wielkiej Miłości,
by dziś tutaj, naszymi rękoma złożyć mirę, kadzidło i złoto.

Tak co roku wędrują Trzej Mędrcy złotosmużną, gwieździstą aleją,
niosąc mirę, kadzidło i złoto w pobielone księżycem bezdroża —
i przychodzą, na pewno przychodzą do każdego, cichego Betleem,
co się w każdym rozjaśnia człowieku gdy Dziecina narodzi się Boża!

BRONISŁAW KRÓL

— Może Bóg da, że nie będzie tak źle.

— A może. Chwała mu i sława na wieki. Mówię wam, za czterdzieści lat dopiero trzeci raz taka burza. Dajno, Marku, tę wódkę, to łykniemy. Raźniej się pójdzie.

Marek namacał na swym wozie flaszkę cztero-pięcio-litrową i podał ją Ivie.

— W imię Boze! Na zdrowie, Marku!

— Na zdrowie!

— U-ha! Psia para, ale mocna! — otrząsł się Ive i podał flaszę Markowi, a ten znowu dalej i tak rzędem, póki nie przyszła kolej na Marysię.

— Na, Maryś, pociągnij — rzecze Ive.

— Nie chcę, stryku, wódki.

— Dlaczego nie chcesz, głupia?! Jechać z chłopami, a nie zachować się jak chłop! Tak nie może być. Weź-ze i popij.

Wzięła, popiła trochę i otrząsła się.

— Mocna, co?! — W dziewiątym dniu jeszcze zrzuca z konia — zartował Ive.

— Strasznie mocna!

— Patrz, jak starzy piją. Na zdrowie, Marku! Gdziekolwiek będziesz, niech ci pomaga Bóg i Najświętsza Maria Panna. Niech ci Pan Bóg da zdrowie i niech ci pomaga Imię Jezusowe! — rzekł Ive i pociągnął uczciwie. — Huuu... Tak! No, jeszcze raz.

I flasza poszła znowu z ręki do ręki. Za drugim razem pociągnęła i Marysia dobrze. Zrobiło się jej jakoś słodko. Poczuła, że staje się śmielsza, gorętsza i mocniejsza już po pierwszym łyku i to się jej spodobało. W każdej żyle i w każdym mięśniu poczuła jakiś ogień i silny przyjemny dreszcz. Przyjemnie jej było i śmiała się.

— W Imię Jezusowe! Teraz pojedziemy dalej. Wiśta, hej mały! Wio, lisek, głuptaku! — zawołał stary Ive, strzelił parę razy z bata ponad końmi i poszedł obok wozu lekko jak chłopak.

— Prawdziwa licka burza, ale, jak Boga mego, i my też Liczanie. Nie prawda, Luka? — zawołał Ive.

— Juzci! Nie bój się.

— A ty, dziewucho, trzymaj się zuchowato. Jeśli ci zimno, dam ci jeszcze mój kożuch. Jak cię porwie, to ładnie mnie przywita twój tata; zabije mnie i obie moje szkapy.

— E, mój tata nie taki.

— A jakże?! Kiedy on nam w potrzebie tak uczciwie dopomógł, to nie byłby człowiekiem, gdyby nas nie wystrzelał, jeślibyśmy się wobec ciebie niepoczciwie zachowali. Ale omotaj się dobrze.

Ive bez ustanku coś mówił, dorzucał jakieś słowo i dodawał jej odwagi, lecz jej nie chciało się odpowiadać w taką burzę. Co chwilę chwytała się albo Luki, albo wozu, by jej lżej było iść, gdyż w nogach czuła ciężkie zmęczenie.

— Trzymaj się, Maryś!

— Idę, idę, stryku.

— Wiśta-hej, mały, rany Boskie! Mój złoty lisku, nie leń-no się. — Żyjesz, Luka?! — Wio, mały! Do Halana daleko. — No, nic nie będzie, jak Bóg da.

Mówił tak bezustanku, a inni przeważnie milczeli i dobrze się omotowywali.

— Wio, lisek! Hej!

— Wiśla, kasztanek!

I znowu cisza. Wszyscy milczą prócz Iva, który nieustannie woła, krzyczy, dogaduje koniom i nawołuje towarzyszy. Prawie cały wieczór nie było słychać brzęku brązowych blaszek na koniach, gdyż idą powoli, nie wesołe i umęczone, a choć i ruszają głowami, to powoli i spuszczają je ku ziemi, lub zwracają ku woźnicom, chcąc przystanąć na chwilę.

— Uhe! Mój wronek już mnie z dziesięć razy trącił głową — woła Ive. — Niechże se trochę stanie.

Inne konie przystanęły same za pierwszymi.

— Jedź, jedź, stryku. Ochludną nam konie.

— Dobrze, dobrze. Co robi Marysia?

— Jestem, stryku.

— Dasz rady jeszcze, biedaku?

— Dam rady, stryku. Dlaczego by nie?!

— Wiśta-hej, wronek, jagnię moje! — Tylko dobrze się zamotaj, bo twój tata nas wystrzela. — Wio, mały!

Szli powoli. Burza dęła coraz gwałtowniej i potężniej, a śnieg stawał się rzadszy.

— Siądź-no, Maryś, na wóz — rzecze Luka.

— Nie chcę, mogę iść.

— Widzę ja, że zaostajesz w tyle, to siadaj.

— I tak im jest ciężko.

— Już ty się o to nie bój. Zabiłbym wszystkie trzy, gdyby nie mogły jeszcze i ciebie uwieść. Wydrap się tylko. No, dalej!

— Jedź, jedź. Nie będę siadać.

— Dlaczego nie chcesz? Nie bądź dzieckiem.

— Jedź, jedź, Luka. Po co stoisz?! — wołali jadący za nim.

— Zaraz, zaraz! Wio, lisek! — Mogłaś przecie siadać

— Siądę, jak będę bardziej zmęczona.

Niedaleko od drogi rozległo się straszliwe wycie wilka.

Marysia zadrżała cała i przysunęła się do Luki.

— Słyszysz go, jak woła?!

— To może „kulas" — odrzekła Marysia, a zęby jej zaszczękały.

— Cóż to za jeden?

— A taki jakiś. Już od czterech lat jest kulawy, a nijak go nie możemy ubić.

W tej chwili huknął wśród lasu strzał z pistoletu Iva.

Konie szarpnęły, blaszki uprzęży zadzwoniły, a woźnice wzdrygnęli się i oglądają się koło siebie.

— W Imię Jezusowe! — krzyknął Ive. — Żeby go diabli porwali, niech mi tu nie śpiewa. Mam już i tak dosyć tej mordęgi.

Wilk zaczął jednak jeszcze straszliwiej wyć. Jakby go zarzynali. Według głosu wydawało się, że ucieka głębiej w las. I z innych stron zaczęły się odzywać inne wilki tymi samymi głosami, jak gdyby się wabiły.

— Fijuu... Fi, fi, fi, fijuuu... — słychać było po lesie. Gałęzie gięły się, łamały i spadały, a burza porywała je i niosła, rzucała woźnicom w oczy śnieg, małe gałązki i kamyki.

Fijuuu...

— Wio, mały... Jak ci tam, Marku?!

— Jako — tako.

— Wio, wronek! — Dla Boga, kierpce mi zamarzły.

— A mnie uszy zmarzły. Ale to nic. — Wio, lisek!

— Popędzaj prędzej, bo nie uciekniesz żywy.

— Może odetchniemy trochę? — zawołał Ive.

— Nie trzeba, nieszczęśniku. Popędzaj aż do Halana.

— No, jak nie chcecie, to nie. Mnie wszystko jedno. Wio, wronek!

Wszystkie te głosy mieszały się w jakiś dziwny, tajemniczy zgiełk, który trudno pojąć, póki się go nie słyszy. Świst burzy, skrzyp ciężkich wozów, strzelanie z biczów, stuk blaszek i podków, głośne oddechanie koni przez szeroko otwarte nozdrza, głosy woźniców, błyski końskich oczu, świec w latarniach i otwartych fajek, a tam gdzieś niedaleko straszliwe wycie głodnych wilków, napełniające dusze strachem i drżeniem, oraz od czasu do czasu głosy nocnych ptaków drapieżników — wszystko to splatało się w tych gęstych leśnych ciemnościach w coś tajemniczego, strasznego i groźnego, przed czym najśmielszy człowiek może zadrżeć i gorąco modlić się o pomoc sił wyższych.

Upłynął już wielki kawał nocy, gdy dotarli na Halan przed pocztę i leśniczówkę.

— Uha! — krzyknął Ive, a konie stanęły jak wryte. Wszystke inne za pierwszymi. — Zawołać gajowego?!

— A po co?

— Żebyśmy się zagrzali. Zimno jest.

— Może byśmy ogień rozpalili i...

— Albo ponakrywajmy konie i dajmy im przegryźć, a potem z Bożą pomocą dalej.

— Mnie wszystko jedno — mówi Ive. — A jak tam tobie dziewucho?

— A no, nie najgorzej.

— A pewnie i nie najlepiej.

— E, mój Boze! Zimno jest.

— Mówiłem jej, żeby siadła na wóz — dorzucił Luka.

— A toś mądry! — zaśmiał się Ive. — Jak gdyby na wozie nie było gorzej.

— Ale przecie nie zaostawałaby w tyle.

— No, no, już ja ta wiem! Głuptasie! Nic ty go nie słuchaj, moja panno, bo inaczej nie doniesiesz, Boże daruj, żywej głowy do domu, choćbyś ich miała dziesięć na karku.

Zaczęli się wszyscy śmiać, dmuchając w ręce, przyciskając je do uszu i tupkając nogami po śniegu. Potem każdy z nich wziął worek z owsem i pozakładał koniom na głowy.

— Na to rzekłszy, moi ludzie, może byśmy tak trochę łyknęli? A ty, Maryś, co powiesz na to? — spytał Ive.

— Dobrze, stryku, jak chcesz.

— Ano. Nie byłoby najgorzej — odezwał się Marek i chwycił za flaszę.

Ive zaczął pierwszy, a potem wszyscy rzędem. Marysia nie dała się długo prosić, ale pociągnęła zuchowato. Wie ona dobrze, że nie ma co żartować z licką burzą, gdy dmie po dalmackich goliznach.

— Teraz nam będzie zaraz lżej — rzecze Ive nakładając fajkę.

— Nie zaszkodziłoby i zjeść co. Jak myślisz, stryku?! — spytał Marek.

— Żeby prawdę rzec ludzie moi, to juźci nie byłoby źle. Pierwej zdechnie głodny wilk, niż syty pies. A słyszeliście, jak się ten gad rozwył, gdym strzelił?

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ICH DWOJE I „MRÓWKA"

M. A. HESSEL

Naprzód (i przede wszystkim!) była ona — pani! Była tym kształtem, tym zapachem i tą barwą, które decydowały o psiej egzystencji „Mrówki". Wszystko, co tylko było lub być mogło, było od niej, przez nią, za jej sprawą. A więc słońce i woda, — szeroka miejska aleja, na której z rozkoszą wystawało się pod każdym drzewem, — przestrzenna i pełna trawy łąka, na której używało się biegamem z całej duszy, ścigając huczącego przed nosem bąka; — i mieszkanie, w którym jadło się i spało, a które zewsząd pachniało nią!

Po tym mieszkaniu, za białymi, chyżo migającymi po podłodze pantofelkami, włóczył się godzinami, jak cień, mały, długouchy szczeniak, podskamlując i natrętnie dopraszając się uwagi. Szczeniak wiedział z doświadczenia, że uporem i wytrwałością zdobędzie wreszcie to, o co mu chodzi. I zdobywał... Bo oto błękitna sukienka pani schylała się aż do podłogi, a pachnące ręce tkliwie obejmowały wijący się ze szczęścia tułów szczeniątka. Umiłowany głos — ten głos jedyny na ziemi, który stanowił świat — mówił jakieś słowa, których treść była nieważna: ważne były dźwięki, z których piesek wnioskował, że ona pieska kocha.

Kochała go istotnie — ale też i piesek kochał ją! I to jak! Ślepo, bezgranicznie i bezkrytycznie! Zresztą brało się od niej samo tylko dobro i samo szczęście. Kto, jeżeli nie ona(!) był ratunkiem i ukojeniem wówczas, gdy nieposłuszny piesek zjadł coś na ulicy, a potem bardzo, bardzo chorował przez długie dni... Jej ręce przyniosły i podały psu coś cierpkiego, gorzkiego i wstrętnego, czego Mrówka nie przyjęłaby od kogoś innego za nic na świecie, a przełknęła potulnie pod słodkim rozkazem jej oczu i głosu! Jej ręce położyły na chorych wnętrznościach coś cieplego, pod czym ból znikał, jak zaczarowany.

A czyż nie ona stała się ucieczką w śmiertelnej trwodze przed nowym, nieznanym, a decydującym przeżyciem? Ona to sama uścieliła posłanie ze swego starego płaszcza i jasnego kocyka, utuliła przerażone zwierzątko pieszczotą i tkliwymi słowy — toteż ona jedna tylko miała przywilej dotykania i pieszczenia szczeniąt.

I kogóż, jeśli nie ją, przywiodło się w nocy zębami za nocną koszulę do legowiska, gdy ślepy jeszcze malec wlazł do rękawa od płaszcza i dusił się... Ona wprawną, niezawodną ręką wydobyła Mrówczyne dziecko z śmiertelnego spowicia, a potem przyniosła jakiś przedmiot błyszczący i długi, przy którego szczękliwym dźwięku niebezpieczna pułapka zniknęła na zawsze.

Obie razem wydeptały wszystkie ścieżki miejskich zieleńców, piaski okolicznych plaż i zamiejskie pola, a Mróweczka miała już trzy lata — gdy zjawił się „on".

Suczka właśnie spała na tapczanie, wyciągnąwszy się arogancko na całą swą długość na poduszce pani, gdy ozwał się charakterystyczny chrobot klucza w zamku: pani wracała! Mrówka w sekundzie była pod drzwiami, by swym rozkosznym zwyczajem chwycić w zęby na powitanie rąbek jej sukienki i ciągnąć go wysoko w górę. Tak też uczyniła. Ale za panią wszedł wysoki kształt i gdy Mrówka przezornie pociągnęła nosem, stwierdziła, że to jest ktoś obcy, całkiem nowy, nikt z tych, co zachodzili tutaj, a mieli bardzo podobne głosy do pani...

Kształt wyciągnął rękę. Suczka cofnęła się, ale niedaleko, bo od razu od ręki tej wionął drogi zapach rąk pani, a głos, który przemówił — niski i miękki — był miły, szczery, pełen życzliwości i ciepła. Mrówka usłyszała nawet dwa słowa, o których z dawna wiedziała, ze znaczą coś dobrego: „prześliczny pies", a znała je dobrze, gdyż mówili je wszyscy dokoła.

Niespodziewanie szybko przemogła nieśmiałość i lęk, odczuwane przed obcymi: przyjęła przybysza! Jego twarz pachniała jej twarzą, jego ręce jej rękami, a ubranie jego tuliło w sobie zapach jej sukienek, który jak treść wypełniał w pokoju kazdy mebel i każdy kąt.

Gdy przyszedł nazajutrz już poznała go, gdy przyszedł po raz trzeci kiwała ogonkiem na jego powitanie, a gdy przyszedł po raz czwarty spoufalała się już z nim, jakby go znała z dawna, pozwoliła się głaskać, a nawet bez chwili wahania przyjęła od niego kawałek czekolady, której nigdy nie wzięłaby od nikogo, choć za ten przysmak sprzedałaby diabłu duszę, gdyby ją miała...

A niedługo potem Mrówka podzieliła serce na pół i oddała połowę przybyszowi. Bo — tak, jak pani — stał się treścią życia. I panem! Bo potem wszystko już: pani, pan, Mrówka, meble i sukienki pachnące panią — przeniosło się do innego pokoju, a raczej do wielu pokoi.

Suczkę ulokowano już w tych pokojach i snuła się po nich zaskoczona i niespokojna, gdy wreszcie zjawiło się ich dwoje. Suczka przez drzwi już poznała ukochany głos pani i jej śmiech, pełen wesołości i szczęścia, oraz donośny głos jego — pana. Gdy weszli do pokoju, Mrówka nie poznała pani w pierwszej chwili, gdyż była w czymś bardzo białym i długim do samej ziemi. Ale zaraz chwyciła w zęby owo długie „coś", podnosząc powitalnie do góry. Pani poczęła pieścić ją i głaskać, a wówczas wszystkowiedzący nos Mrówki potrącił o jakiś obcy przedmiot na jej palcu, gładki i zimny. Przedmiot błyszczał, więc suczka obejrzała go uważnie i znów poczęła obwąchiwać tak skrupulatnie, że pani wybuchnęła srebrzystym śmiechem, a pan podsunął psu pod nos swoją rękę i Mrówka tym nosem trąciła o taki sam przedmiot. Obwąchawszy go krytycznie, kiwnęła wreszcie ogonkiem...

I zostali we trójkę w tych pięknych, obszernych pokojach, w których pies miał dużo przestrzeni do zabawy i gonitwy, a po których snuły się teraz dwa ukochane kształty i dwa zapachy, lecz stanowiące jedną, nierozdzielną, absolutną całość.

Ona, czy on, to potem było już jedno. Bywalcy plaż, czy zieleńców, ujrzawszy znajomą sobie cudownie piękną koker-spaniel — i szukając zaraz oczyma jej właścicielki — widywali teraz z psem dwoje jasnowłosych ludzi, a nierzadko potem tylko męską postać.

Suczka wielce chwaliła sobie spacery z panem: miała więcej swobody! Pan nie lękał się tak o pieska i nie gwizdał odwoławczo na widok byle wielkiego kundla...

Czasami pani znikała na tydzień, na dwa, raz nie było jej nawet cały miesiąc (suczka nie mogła wiedzieć, że jej pani jest chora i wyjeżdża do lecznicy). Mróweczka nie tęskniła. Zostawała przecież z nim!

Potem ona zjawiała się i piesek szalał z radości, zapominając w ogóle, że jej przecież nie było. A gdy on z kolei gdzieś znikał na dłużej, nie tęskniła oczywiście, gdyż przecież zostawała ona. Natknąwszy się gdzieś na jego szlafrok lub pantofle kiwała miłośnie krótkim ogonkiem, a gdy wrócił znów szalała z radości — i tak upływały lata!

Aż pewnego dnia w ich życiu weszło coś całkiem nowego: on i ona mówili szybciej i głośniej, niż zawsze. Przy tym on — pan — chodził spiesznie po pokoju, ze złością potrącając meble. Zaniepokojona suczka usiadła, spała właśnie na tapczanie, a głosy zbudziły ją. Pani również usiadła na skraju tapczanu i umilkła. Pies wtulił w nią zaraz swój aksamitny korpus, a pani objęła Mrówkę. Wtedy pies usłyszał swe imię, rzucone niespodziające ze złością i pretensją. Suczka znakomicie odróżniała dźwięki, toteż szybko spojrzała na pana. Ale pan w ogóle na nią nie patrzył, widocznie więc imię Mrówki przeznaczone było dla uszu pani.

Wreszcie pan pokręcił się po pokoju jakoś niepewnie i nieszczerze (och, suczka widziała to po nim!), potem wpadł do przedpokoju, porwał kapelusz i zostawiając drzwi do pokoju otwarte wyszedł, trzasnąwszy wejściowymi drzwiami.

Pani drżała i coś mokrego spadło nagle suczce na pysk, wtulony w jej bluzeczkę. Pies zatrzepotał cały nagłym ogromnym, a nieznanym dotąd niepokojem i wspiąwszy się na przednie łapy począł lizać na oślep mokrą i gorącą twarz.

Pani rozpłakała się głośno...

A potem poczęło się „to" powtarzać coraz częściej. Coraz częściej nie było go w domu i pani płakała, a suczka siadywała cicho u jej nóg. Pan wracał późno i zawsze chałaśliwie — ale pies nie wybiegał na jego spotkanie: w sercu zwierzęcia gasła ufność, a w jej miejsce przypłynęło inne uczucie, które nie było lękiem, ale było bardzo podobne do lęku. Pies przyglądał się panu uważnie, jakby go nie poznawał — i istotnie począł odczuwać w nim coś obcego, innego. Nie znajdował w jego twarzy i oczach dawnego wyrazu, w głosie dawnych dźwięków, które czyniły go najdroższym na świecie, tak drogim, jak ona!

Pewnej nocy przyszedł, gdy pani już spała i suczka spała w swym kąciku w jej pokoju. Zamiast pójść do siebie zatrzymał się w pokoju pani, mówił głośno, ostro, — przystanął zaczepnie nad pościelą pani.

Mrówka usiadła. Oczy jej spoczęły szybko na jego twarzy, poczęły zmieniać się, rozszerzać, błyskać jak czerwono-żółte ogniki — i stała się rzecz przedtem nie do pomyślenia: pies począł warczeć!

Pan doskoczył do psa i chciał uderzyć, ale pies pochwycił zębami niesprawiedliwą rękę. Kropelki krwi zaciemniały na skórze. Pan chwycił pasek i ramię jego podniosło się w górę, by opaść na psa, ale w tej chwili bose szybkie nogi przybiegły po parkiecie — pani stanęła między psem i człowiekiem.

— Za co chcesz ją bić?!?

— Odejdź!

— Nie! Ty odejdź! Czuje, że robisz mi krzywdę, więc warczy! Do siebie miej pretensję, nie do niej!

Czerwony i wściekły mierzył panią złym spojrzeniem. Głos pani był spokojny i jakby smutny, ale suczka dosłyszała w nim coś, niezauważonego dotąd: wyniosłość, chłód i karcenie.

On — pan — nagle podszedł do stołu, zerwał z palca i rzucił z gniewem o stół ów gładki błyszczący przedmiot, który stale widniał na jego ręku. Krzyczał przy tym coraz głośniej i machał rękami. Przedmiot, rzucony gwałtownie, stoczył się po stole, spadł na podłogę i potoczył się aż do drzwi. Suczka śledziła jego szybki migocący bieg przestraszonymi oczyma. Pani schyliła się bez słowa, podniosła przedmiot, położyła na stole, a pan wyszedł do drugiego pokoju i tam już został.

Pani wróciła na posłanie i zgasiła światło. Cisza zapanowała w koło. W tę ciszę wpadł szept delikatny, jak szmer trawy:

— ...Mróweczka...

...Nie dało się już szybciej przybiec! Nim przebrzmiał szept, Mrówka leżała koło pani drżąc i tuląc się do niej.

A nazajutrz, gdy pana już w domu nie było, pani wdziała futro i czapeczkę, pies wpatrzył się w nią czujnie, a wówczas ona skinęła głową i uśmiechnęła się, co zawsze oznaczało, że pies pójdzie z panią — więc Mrówka skoczyła „piorunem" po swoją smycz.

I poszły obie do obcych mebli, ale tam był ktoś, kogo Mrówka znała od szczenięcia, a kto miał głos prawie taki sam, jak pani.

I zostały! a potem przyszły sukienki pani (zapachniało nimi z otwartych walizek) i tapczan przyszedł, pachnący panią i samą Mrówką, gdyż przecież sypiała na nim, — i wiele innych znanych przedmiotów.

Mrówka zaraz odczuła, że coś się zmieniło. Pani nie śmiała się nigdy, nie goniła z pieskiem dokoła stołu — jak dawniej. Siadała nieruchomo i milcząco, a Mrówka przyciskała się do jej kolan swym ciepłym pluszowym kształtem, wyrażając w ten sposób swe psie współczucie.

OSOBLIWOŚCI ŚWIATA FLORY

KWITNĄCE KAMIENIE

Czy nie zanadto „bluffem" trącący tytuł? Gotów ktoś pomyśleć, że bezkarne żerowanie na rzekomej naiwności czytelnika, jest zaletą umiejętnego podania rzeczy niecodziennych i zgoła osobliwych.

Do okłamywania miłych czytelników nam daleko, do najmniejszej mistyfikacji nie mamy zamiaru przykładać ręki.

Tak tedy z góry oczyszczamy się z wszelkich nas mogących dotyczyć podejrzeń w przeświadczeniu, że mamy zupełne prawo ku temu.

„Kwitnące kamienie" — to bowiem jeden z wielu dziwów natury, to nazwa nadana przez mieszkańców Meksyku pewnym gatunkom roślin tropikalnych z rodziny agaw i kaktusów.

Wśród wielu bowiem osobliwości spotykanych w przyrodzie, jest ich może największej w świecie flory.

Słyszał zapewne każdy o kwiatach łapiących owady w głąb kielicha, by po dniach kilku wyrzucić jeno niezużytkowane na swój żer chitynowe łuski ich pancerza, znane są kwiaty-ćmy tylko nocą otwierające się i rozkwitające, wiemy o nerwowych mimozowatych roślinach, za najlżejszym dotykiem stulających listki i płatki, będące symbolem przeczulenia i nadwrażliwości.

Opisano w licznych naukowych tomach olbrzymie rodziny tajemniczych storczyków, o widmowych kształtach ludzi i zwierząt...

W niekłamane zdumienie wprowadzać muszą widza butelkowate formy drzew baobabu, owoce drzewa chlebowego, drzewiasto-wieżowe paprocie... To wszystko roślinność stref gorących, — krain do dzisiaj wiele jeszcze tajemnic kryjących w sobie.

Ale wróćmy do naszych „kwitnących kamieni".

Jeden z belgijskich przyrodników z zamiłowaniem hodujący meksykańskie kaktusy, wynalazł w tym upalnym, skalistym kraju niesamowite, botanice dotąd nieznane, kwiaty-kamienie.

I kształt i twardość odpowiadają nazwie.

Faktycznie, nawet przy specjalnej obserwacji, trudno je odróżnić od kamienistego otoczenia okolic, w których wzrastają.

Rodzina tych kamienio-kwiatów ma ponad 300 odmian. Wszystkie są mięsiste, przyziemne, niemal zdrewniałe w budowie, do złudzenia upodobnione wyglądem swym do kamieni. Kwiaty mają piękne, o dziwacznych liniach, wpadające w podobieństwo grudek żwiru, odłamków skał czy połupowych głazów. Przeszczepione na naszą półkulę przyjęły się specjalnie w Afryce północnej, Hiszpanii i jako tako w południowej jeszcze Francji.

W krajach północnych kontynentu europejskiego zaaklimatyzowały się tylko w doniczkach, wymagając odpowiedniej opieki, suchego powietrza, dużo słońca, nie znosząc otwartego powietrza poza czasokresem maj — wrzesień. Wyhodowane z nasienia, kwitną w roku następnym. Sadzonki t. zw. sztubrowe lub ablegry (z niemieckiego: odkłady) też rozmnażają je dobrze.

Wzrostu w ogóle są karłowatego. Liście sinawo-białe, w naturze zmieniają nieco ten odcień zależnie od nasilenia operacji słonecznej.

Kwiat wyrasta centrycznie, o średnicy 2—3 cm, barwy blado-żółtej.

Inna odmiana kwiato-kamienia, „crassula columnaris" na przykład, robi wrażenie guzików skórzanych używanych do trenczy i ubrań sportowych, zwana przez niemieckich przyrodników „Lederknöpfe".

Ciekawy jest okaz o dwóch tylko bardzo grubych liściach dokładnie przeciwległych, długich do 7 cm, z początku barwy sinej, potem czerwonawej, wreszcie brudno-białej, podobnej do kamieni swojej meksykańskiej ojczyzny.

Przyrodnicy twierdzą niemal zgodnie, ze dziwne te kamienne niby rośliny, to tylko nowy dowód dostosowywania się żyjących tworów przyrody do warunków bytu.

Identycznością wyglądu z otoczeniem zabezpiecza je natura od pożarcia przez małpy meksykańskie, buszujące zawzięcie wśród kamienistych pustkowi prażonej żarem słonecznym krainy, w poszukiwaniu za sokiem roślinnym, którym gaszą pragnienie w okresy długotrwałych suszy.

We Francji łakome ślimaki czynią znaczne spustoszenia pośród kamienio-kaktusów, bardzo sobie ceniąc widocznie mięsiste liście przybyszów tropikalnych.

Pośród odmian tych cudacznych roślin zwraca uwagę gatunek „Conophytum spez", — naśladujący nader udatnie wiązankę pietruszek, nacią do góry obróconą, lub porowatego odłupka kolonii koralowca, czy wreszcie zwietrzałego kawałka piaskowca.

Gatunek „Lithops Eberlanzii" nie różni się w ogóle niczym od zwykłego białego kamienia, wyglądając po mocno naciągniętym porównaniu jak nieco nadużyta już pośrodku „osełka" do ostrzenia noży czy kosy.

Odmiana „Lithops Vanzijlii", — to znowu wierne naśladownictwo czterech nerkowatych kamieni leżących w kupce.

Przedziwny jest gatunek kwiato-kamienia o budowie upodobnionej do skamieniałego kalafioru.

Odmiana „tygrysia" ma liście marmurowato żyłkowate, o brzegach silnie owłosionych, lekko wklęsłych, podobnych do agawy.

Są gatunki o kształtach skamieniałej fasoli, kwiatach podobnych do blaszanego lejka z uchem, czasem o płatkach rosnących w jednej płaszczyźnie, kwitnące późną meksykańską jesienią.

Gorący, upalny Meksyk, gorąca krew i temperament mieszkańców, tropikalny świat flory i fauny wokoło...

A wśród złocistego żaru wiecznie rozpalonego niemal do oślepiającej białości słońca — żyją nieczułe na straszliwy skwar i piekielny niekiedy upał, dziwaczne dzieci natury, kwitnące kwiaty-kamienie.

Stefan Krasiński

KAPLICA W DĘBIE

Najstarszy dąb we Francji, a prawdopodobnie i na świecie, znajduje się między Rouen i Le Havre. Potężne to drzewo mierzy 10 metrów średnicy, we wnętrzu jego znajdują się dwie kaplice, do których prowadzą schody. Drzwi otwiera się specjalnym kluczem. Pod tym dębem siadywali król Karol II angielski, Ludwik XV, a cesarzowa Eugenia ofiarowała do kaplicy piękną statuę Matki Boskiej. Wielka burza połączona z huraganem, jaka przeszła swego czasu nad północną Francją, zniszczyła gałęzie dębu, lecz sam pień i znajdujące się w nim kaplice o historycznych tradycjach pozostały nietknięte.

A potem przyszedł dzień dziwny i straszny. Pani krążyła szybko po całym pokoju. Czekała na coś, czy na kogoś... Pies wyczuł to całym swym jestestwem. Udzieliło się mu natychmiast wewnętrzne drzenie pani — i w obydwóch dygotał każdy nerw, trzęsła się każda kropla krwi.

I wreszcie... dźwięk dzwonka! — twardy, donośny, zbyt śmiały, jakiś bardzo inny. Pani skoczyła ku drzwiom, ale Mrówka uprzedziła panią:

Coś przewróciło się w całej istocie psa. Ten, co dzwonił, to był wróg! Za drzwiami stał nieprzyjaciel! Tak zadzwonić może tylko ktoś, kto bat trzyma w rękach i złą ma twarz, a jeszcze gorsze serce... Zbliżało się coś groźnego i niebezpiecznego.

Przypadła do ściany naprzeciw drzwi, które otworzyła drżąca ręka pani.

Stanął w progu. Oblało go światło z zewsząd: z otwartych drzwi pokoju, ze szklanych drzwi naprzeciw i z klatki schodowej.

Dla psich, zielono gorejących ślepi stanął zmieszany i nieswój, udawał tylko pewność siebie, ale czegoś się lękał, nie wiedział jak i co zagadać. Dostrzegł psa i schylił się, szczęśliwy, że znalazł punkt zaczepienia.

— Mrówka! — ...rzucił głos, drgający dla uszu psa wyraźnym fałszem, a ręka wyciągnęła się do pogłaskania.

Jak mały czarny tygrys skoczyła Mrówka do gardła mężczyzny i jednym szarpnięciem zębów zerwała wiązanie krawatu.

Pani krzyknęła, usiłując chwycić psa na ręce. Pies charczał, wyrwał się błyskawicznie, skoczył znów i, chwyciwszy za gors pochylonej wciąż jeszcze koszuli, rozdarł płótno z pasją i nienawiścią.

Mężczyzna wyprostował się, blady. Pani porwała psa, ale mocno i obejmując jego drżący tułów rzekła smutno:

— A zatem niczego dobrego po tobie spodziewać się nie mogę...

Milczał. Przepuściła go przed sobą do pokoju. Mrówka siedziała cichutko w objęciach pani, wierciła tylko podejrzliwymi ślepiami w jego twarzy, tak niegdyś kochanej. Ale teraz w tej twarzy widziała zło i obłudę, ta twarz nie budziła miłości — przeciwnie, budziła ślepą nienawiść i trwogę. Pies czuł, że tu się „coś" stanie i cały przemienił się w czujność.

Tymczasem on zaczął mówić. Potem mówiła ona. Mrówka słyszała w jej drgającym głosie ciepłą, tkliwą prośbę. Słuchał blady i zacięty, a gdy sięgnął ręką w kierunku pani, czarny śliczny pysk złowieszczo kłapnął zębami.

— Wyrzuć tego psa, bo go zabiję! — wybuchnął z furią.

— A co ty zrobisz, jeżeli go wyrzucę?!

Siadła na tapczanie. Mrówka wyskoczyła zaraz i wsparła się o nią. I znów on mówił, mówił — a serce psa poczęło pęcznieć nieubłaganym pragnieniem rozszarpania mu gardła.

Lecz nagle stało się coś okropnego: pani wstała, zbliżyła się do pana, mówiła coś, perswadowała, chwytała go za ręce — potem zachwiała się i padła do jego nóg na podłogę. Krzyknął, schylił się i chwycił panią na ręce, a suczka nie przeszkodziła mu: pozwoliła wziąć zemdloną, ułożyć na tapczanie; wyskoczyła zaraz i legła niemal przy piersiach swej pani, trącając nosem sztywne nieruchome palce. Pan siadł koło pani, dotykał jej, skropił wodą, rozpiął sukienkę, — Mrówka pozwalała mu na wszystko. Aż wreszcie rozebrzmiał słaby głos pani. Uniosła się i usiadła. Suczka próbowała dodać jej otuchy, kiwając spiesznie ogonkiem. Przesunęła się cicho po barwnym kilimie i siadła, rozdzielając tych dwoje. Pysk jej wydłużył się dziwnie, a żółte oczka poczęły błyskać...

Pan wstał. Odszedł parę kroków. Znieruchomiał i patrzył milcząco w okno. — Co ważył w myślach?? Piwne tęczówki migotały mu oto, jak u przyczajonego kota, a źrenice rozszerzały się i zwężały złowrogo...

Dwie pary oczu śledziły z boku uważnie wyraz tamtych oczu: kobieta patrzyła w nie z rosnącym przerażeniem, a pies... ...poruszył się nagle. Więc kobieta spojrzała szybko: Mrówka jak zahipnotyzowana wpijała się oczami w złowrogie źrenice, białe jej kły wyszczerzyły się wściekle, sierść zjeżyła się jak kolce — pies uniósł się na drgających niedwuznacznie nogach...

...w mgnieniu oka pani chwyciła psa. Wstała.

— Idź! — padło nagle. — Niczego nie chcę, niczego nie żądam! Odejdź!

Otworzyła jedną ręką drzwi, gestem który wyrzucał za próg. Mężczyzna obiecywał coś, przyrzekał głosem spokorniałym i zcichłym, ale Mrówka szczeknęła mu w żywe oczy, że kłamie.

Gdy wychodził patrzyła za nim spode łba, a gdy pani postawiła ją wreszcie na podłodze, wpiła się mściwie zębami w kant drzwi, które odgrodziły go od niej.

Gdy za panią wróciła do pokoju poczęła krążyć dokoła ze zjeżoną sierścią. Biegała od okna do tapczanu i od tapczanu do okna, głośno węsząc i parskając groźnie. Całym ciałem zdawała się wypłaszać i przepędzać zapach, do którego tak nie miała zaufania jej cudna zwierzęca intuicja.

Ale oto stało się coś wspaniałego i rozkosznego: pani przykucnęła na podłodze i wyciągnęła do suczki oba ramiona, jak do dziecka. Więc Mrówka wpadła w nie naoślep, a pani uniosła ją i Mrówka w tych ramionach zawisła w powietrzu nad podłogą, jak wielka wełnista zabawka. Pani obracała nią, jakby ją oglądała po raz pierwszy w życiu, a potem zniżyła do poziomu swej twarzy i tak całkiem po prostu, tkliwie i serdecznie, poczęła całować po prześlicznym pysku, — po olbrzymich uszach, zwisających ku ziemi jak dwa kawały czarnego futra, — po białych jak śnieg przednich łapach upstrzonych czarnymi kleksami, jak gronostaje, a na końcu rozczłapanych, jak stare papucie...

•

W kilka tygodni później Mrówka znalazła się przypadkowo na znanych sobie szerokich alejach z bratem swojej pani. Pan spotkał znajomego i przystanęli pod akacją, a suczka poczęła pilnie przeglądać słupy, latarnie i drzewa...

Dojrzał psa nadchodzący z przeciwnej strony wysoki człowiek... Poznał! Szybko upewnił się oczami, kto jest z psem...

Idąc za pierwszym impulsem schylił się, wyciągając rękę:

— Mrówka... Mrówka...

Pies usłyszał swe imię. Głos, który je wymówił, nie poruszył żadnej struny w sercu zwierzątka, więc suczka podniosła oczy. Ale twarz była obca! Więc Mróweczka przytknęła do nogawek pana nos, który przecież nie mylił się nigdy... Ale nos potwierdził orzeczenie słuchu i wzroku: „obcy"!

Nagłym, choć delikatnym cofnięciem ciała uchyliła się od pogłaskania; obojętnie obróciła się tyłem i odbiegła pod akację, szastając prześlicznie rozczłapanymi papuciami.

Po drodze jednak zatrzymało ją przy samotnym kamieniu ogłoszenie matrymonialne...

PRZYGODA W POCIĄGU

Wydawało się ludziom na pierwszy rzut oka, że Jerzy jest młodzieńcem o wyjątkowo zrównoważonym charakterze. Chociaż życie płynęło mu w sposób dość barwny i urozmaicony, to jednak potrafił tak zapanować nad sobą w obecności innych, że nikt by go nie posądził o marzycielstwo, lub jakikolwiek bodaj odcień wewnętrznego buntu.

A w sercu Jerzego szalał huragan...

Od kilku już lat, skoro tylko pod wpływem różnych przyczyn poczuł się człowiekiem dorosłym, szukał gorączkowo zaspokojenia dziwnej tęsknoty za dopełnieniem własnego ja przez związek z kobietą.

Bał Łatwo to powiedzieć! Choć tyle jest niewiast na ziemi, nie spotkał dotychczas żadnej, która by mu odpowiadała całkowicie.

I teraz, choć opanowany i w miarę swobodny wsiadał do pociągu idącego w stronę Dęblina, myślał gorączkowo o tym, jaką by metodą się w swoich poszukiwaniach posłużyć.

Próbował różnych. Wszystkie poznane kobiety budziły w nim ciekawość dzień, dwa, najwyżej trzy, cztery... Okazywały się później tak podobnymi do siebie, że bez pewnego rodzaju irytacji nie można było z nimi obcować.

Jeszcze chyba Irka ze względu na jej błyskotliwą inteligencję mogłaby zająć w jego sercu jakie takie miejsce. Ale i jej było czegoś brak. Jerzy nie znał się na żadnych „sex-appeal'ach", na żadnej kobiecości, być może dlatego, że wychowywał się od najwcześniejszych lat swego dzieciństwa z dala od kobiet, szczególnie z dala od tej kobiety, która najwięcej wpływa na kształtowanie się pojęć, nawyków i w ogóle całego światopoglądu, z dala od matki.

W przedziale zajął sobie miejsce przy oknie. Zawsze to miło móc okiem pośligząć się po zielonym kobiercu łąk, po drzewach boru chwiejących się pod wpływem jesiennego wiatru, po dachach domów przy torze stojących i po pióropuszach dymów unoszących się leniwie ponad strzechami odległych, wiejskich zabudowań.

— Odjazd!

Zdążył jeszcze dojrzeć, że jakaś młoda kobieta w ostatniej chwili wskoczyła na schodki wagonu.

— Dobry wieczór! — jasny głos nieznajomej wyrwał go z kręgu zadumy, w jaką popadł przed chwilą ukołysany miarowym stukiem kół o szyny. Spojrzał na nią z ciekawością, malującą się w jego sino-stalowych oczach. Wysoka, smukła sylweta kobiety w jasnej sukience stojącej w ramie drzwi przedziału w blado-różowym świetle promieni zachodzącego słońca robiła na pierwszy rzut oka wrażenie pastelowego portretu.

— Nie mogę wygrzebać się z korytarza.

Dziwnie miękki, aksamitny głos ma ta kobieta.

— Czy pan słyszał, co do pana mówiłam?

— Obcesowo sobie ze mną zaczyna, nie ma co — pomyślał i podniósł się niechętnie z wygodnej ławki.

— Bardzo pana przepraszam, ale... — spojrzała na niego z niemym wyrzutem w swych czarnych i świecących, jak węgle gorejące, oczach.

— Nie szkodzi — mruknął — chętnie pani pomogę.

Po ulokowaniu walizek na półce, nieznajoma zajęła miejsce naprzeciw niego i zdjęła po chwili kapelusz. Na śnieżną biel jej karku rozsypały się ciemną kaskadą niesforne kędziory kruczych, jak noc, loków.

Jerzy przypomniał sobie nagle, że mu kiedyś cyganka wywróżyła ożenek z „czarnom, bogatom pannom". A sądząc z kuferków podróżnych nieznajoma nie była chyba biedna. Roześmiał się mimo woli.

Nieznajoma popatrzyła nań ze zdumieniem.

— Dopiero był pan kwaśny, jak ocet...

— Cieszę się, że będę mógł pani towarzyszyć w podróży — przerwał szybko.

— I ja też! — brzmiało to poważnie i kończyło bezapelacyjnie rozmowę.

Zmarszczył brwi.

— No, niech się pan rozchmurzy... Z marsem na czole stanowczo pan brzydko wygląda — roześmiała się srebrzyście.

Jaka ona piękna — pomyślał Jerzy chłonąc wzrokiem z przyjemnością klasyczne rysy nieznajomej — kto wie, może wreszcie znalazłem islotę, której szukam od dawna...

— Pali pan?

Pudełko „Egipskich" drżało z lekka w jej ręku.

— Dziękuję! — sięgnął po papierosa.

Nieznajoma uspokoiła się. W oczach jej zapalił się dziwny błysk, aby zgasnąć natychmiast.

W ciasnej przestrzeni przedziału uniósł się wonny kłąb dymu...

•

— Łuków!

Jerzy przetarł oczy. Co to u licha? Przecież miał wysiąść w Garbatce. Głowa go strasznie boli... Aaa, coś sobie przypominam... poszukiwanie serca, nieznajoma, dziwny smak papierosa... Rozejrzał się dookoła. Przedział był pusty.

— Carramba!

Na ławce zajmowanej poprzednio przez nieznajomą leżała kartka, na której w pośpiechu skreślono parę słów.

„Bredził pan strasznie! Bardzo przepraszam, że zabrałam panu te pięćset zł, ale... Ja z tego żyję... A co do kobiet — wierz mi, miły Jerzy, że wszystkie one jednakie!"

J. Głogowski

P. T. czytelnikom i współpracownikom naszym dziękujemy serdecznie za otrzymane życzenia świąteczne i noworoczne.

REDAKCJA

Rozrywki umysłowe

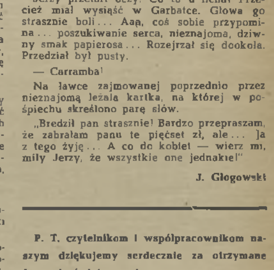
TRUDNY ZAKŁAD FAMILIJNY

Podczas zebrania towarzyskiego urządzonego z okazji imienin ojca; zabawiano się różnymi grami towarzyskimi, odgadywaniem zagadek oraz pokazywaniem różnych czarodziejskich sztuczek. Wreszcie wuj Paweł bardzo dowcipny człowiek, powiedział do swego silnego i wysokiego siostrzeńca: Założę się z tobą, że nie będziesz mógł usiąść tam gdzie ja usiądę. Siostrzeniec spojrzał z niedowierzaniem na wuja i przyjął zakład. Zakład ten odbywał się w ten sposób, że wuj siadał na różnych miejscach, wstawał potem, a siostrzeniec za każdym razem zajmował jego miejsce. Wuj zakład na końcu wygrał, gdyż siostrzeniec nie mógł zająć jednego z miejsc, które zajmował na chwilę przed nim wuj. Jak to było możliwe?

KRZYŻÓWKA
ul. W. Reichel z Jasła

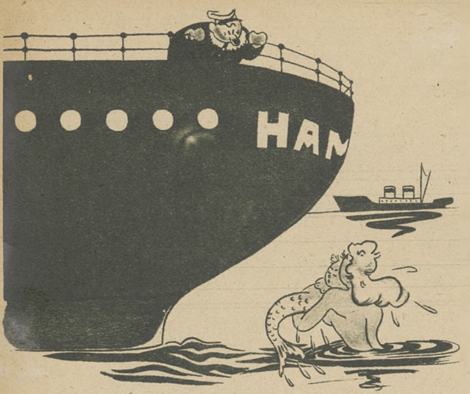
Wyrazy poziome: 1) bogate rosyjskie miasto portowe na Kaukazie; 2) brytyjska wyspa na morzu Śródziemnem; 3) dzień i noc; 4) jednostka siły; 5) inaczej trud; 6) członek rodziny; 7) skaleczenie; 8) pismo maszynowe; 9) rodzaj gry w loterii liczbowej; 10) przystań morska; 11) droga obsadzona drzewami; 12) mieszanina kilku metali; 13) duży kielich; 14) inaczej zatoka morska; 15) pensja; 16) majątek większy; 17) rzeka we Włoszech; 18) otrzymanie wyższej grupy służbowej; 19) narzędzie rolnicze; 20) woda słona, ług; 21) pole leżące odłogiem; 22) bal; 23) chwast mający żółte kwiaty; 24) czołg; 25) autonomiczna jednostka w Unii Amerykańskiej; 26) bóg grecki.

Wyrazy pionowe: 1) omyłka; 27) naczynie z prochami ludzkimi; 2) jezioro w Afryce środkowej; 28) pole uprawne; 5) bandyta; 29) nora; 6) śpiewak; 30) zaprawa murarska na ścianę; 9) imię żeńskie; 31) osiedle ludzkie na pustyni, gdzie jest woda; 10) mieszkaniec Iranu; 32) ślad; 13) materiał budowlany; 33) góry w Afryce; 14) nieczystość; 34) istota, stworzenie; 15) kość; 35) bożek miłości; 19) kraj w Ameryce płd. 36) szemranie, mruczenie; 20) zgromadzenie kościelne; 37) kamień szlachetny; 23) „pobożny" w języku martwym; 38) zakończenie życia; 24) natrysk; 39) lekki galop.



Rozwiązanie rozety z nr. 52

Wyrazy: barłóg, siniec, pędzel, Rostów, dziryt, Mocart, piorun, scheda, Aleppo, jelita. „Bóg się rodzi, moc truchleje".



„Hallo, kapitanie, czy nie zna pan przypadkiem nurka Pawła?“ (Koralle)

— Ja piszę dowcipy, a moja żona maluje do nich obrazy.

— U mnie jest wprost przeciwnie. Ja maluję obrazy, a moja żona ma z nich temat do dowcipów.

*

Żona narzeka: — Mój drogi, ja już nie mogę więcej pokazać się na ulicy w moim płaszczu. Każdy mieszkaniec naszej dzielnicy już go zna.

— Dobrze, moja droga — odpowiada mąż. — Wobec tego musimy się przeprowadzić.

*

— Panie sędzio, ja nie byłem pijany, tylko wstawiony.

— W porządku — odpowiada sędzia — wobec tego nie skazuję pana na dwa tygodnie, tylko na 14 dni aresztu.

*

W czasie odczytu o tańcach nowoczesnych wyraził się prelegent:

— Tańce w dzisiejszych czasach, to nic innego, jak ustawowo dozwolone ściskanie się w takt muzyki. Co należałoby zrobić, by temu zapobiec?

Głos z audytorium: — Usunąć muzykę.



„Panie krawiec, nie mogę się pozbyć tego uczucia, że ubranie, które teraz mierzę, jest nie moje“. (Wiener Illustrierte)

AUTOSUGESTIA

Ja miałem dziwne wrażenie, nie wiem czy z was kto miał to?...
Po prostu wmówiłem sobie, że mam swoje własne auto...

... Start. Siedzę przy kierownicy. Zryw. Wyścig samochodowy
Diabelskie wycie motorów. Pęd! Pęd mi bije do głowy.

Serce mojego auta w twardym pogrąża się rytmie —
Psss-wiuuuuuuu... Żżżżż... Wuuuuu... Jak w okrążającej bitwie.

Maszyna jak promień świetlny prześmiga szosą wzdłuż topól —
I jestem pierwszy u mety!!! A tłumy, tłumy naokół...

Wychodzę na dach limuzyny. Okrzyki i brawa zewsząd!
Z tłumów strzelają do mnie oczy młodziutkich dziewcząt...

Na wszystkich szosach podmiejskich goniłem maszyną wiatry,
A auta przecież nie miałem... Poszedłem więc do psychiatry.

Zbadał mój system unerwień i orzekł z uśmieszkiem, bestia,
Że to jest lekkie stuknięcie, że to jest autosugestia...

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



— „Proszę głęboko oddychać“. (Wiener Illustrierte)

HUMORESKA EKSPERYMENTALNA

Pewien urzędnik objął posadę a potem kucharkę. Przyjęła go z zamkniętymi oczami i otwartymi ramionami. Tak ją gorąco kochał, że aż zakipiała. Dla pewności zamknęła drzwi i otworzyła przed nim swoje serce. Plotła warkocze i głupstwa. Naprzykład: „Służący Antoni nie daje sobie w kaszę dmuchać, ale pluć mu plują...“.

Tak się śmiał, że trzymał się za boki najpierw swoje a potem jej... Mówił, że chciałby prosić o jej rękę, ściślej mówiąc o jej nogi. Odrzekła, że przed ślubem — nie... A on żenić się nie chciał, bo wiedział, że już niejeden węzeł małżeński zacisnął się na szyji małżonka. Zaczął więc nucić kołysankę, żeby uśpić jej sumienie.

Skrawek nieba widoczny przez okno wieczorniał się w czarnozmierzch. Nagle na chwilkę zrobiło się jasno. To błysnęła mu myśl... Niespostrzeżenie wyciągnął szpilkę i ukłuł kucharkę w tylne centro osoby. Podskoczyła. Nie wiadomo tylko czy ze strachu czy z bólu. Chciała wylać gniew swój na niego w postaci ukropu. Ale urzędnik podskoczył do drzwi.

Kucharka wzięła wałek i rzuciła nim w urzędnika. W tej chwili drzwi się otworzyły (widocznie przedtem źle zamknęła) i stanął w nich dyrektor. Przelatujący wałek uderzył go w głowę. Dyrektor wziął kleju i wlepił swój wzrok w kucharkę.

— Ja jestem strasznie porywcza — tłumaczyła się kucharka, która miała na wszystko gotowaną odpowiedź. — I przypadkowo tylko trafiłam w pana dyrektora. Jestem bardzo krewka...

— Tak, tak odrazu mnie to uderzyło — rzekł dyrektor. Potem spojrzał na urzędnika:

— A pan co tu robi?
Urzędnik wiedział, że mógł liczyć tylko na siebie i na maszynie do liczenia, więc rzekł:
— Proszę przytoczyć dowód!
— Kiedy popsuło się koło...
— Pan mi chcesz zamydlić oczy...
— Nie panie dyrektorze, mydło teraz takie drogie...
— Poruszę wszystkie sprężyny, żeby tę sprawę wyjaśnić...
— A te od otomany też?...

Dyrektor wybił mu żarty z głowy przy pomocy laski.
Urzędnika ogarnął gniew:
— Przymocuję do procesu koła i wytoczę go panu!!!
— A ja pana pozbawię kawałka chleba!!!
Sprowadzali się nawzajem do zera, a raczej do dwóch zer...
W końcu urzędnik mocno pociągnął nosem... i poczuł się osłabionym...
To dyrektora wzruszyło i dał mu kawałek bułki...
Urzędnik rzekł: — Nie czuję złości jeżeli mnie ktoś pozbawi kawałka chleba a da mi kawałek bułki...

B. KOLANKOWSKI

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 7 (28)

pod redakcją mistrza Europy i świata dra **A. Aljechina**

Problem nr 5

G. Drese

Czarne: Kd5, Se3 i g3, piony: d4, e7, f7 (6).
Białe: Ka5, Wc6, Gb5 i f6, Sd6 i d8, piony: f2 i f5 (8).
Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie problemu nr 4

1. W—c5! (grozi W—d5) W×g3 (A, B). 2. W—d5+ W—d3 3. c×d mat. A/1 . . . W—h4 2. c3! W—d4. 3. c×d mat. B/1 . . . W—h5 2. c4! W—d5 3. c×d mat.

Partia nr 99 (101)

Białe: Junge — Czarne: Alfeis

grana w turnieju okręgowym w Hamburgu w r. 1942

Obrona hetmańsko-indyjska.

1. d2—d4 Sg8—f6	12. e2—e4! d7—d5³)
2. Sg1—f3 e7—e6	13. c4×d5 e6×d5
3. c2—c4 b7—b6	14. e4—e5 Wf8—e8
4. g2—g3 Gc8—b7	15. 0—0 Sf6—h5⁴)
5. Gf1—g2 Gf8—b4+	16. Hf4—h4 g7—g6
6. Gc1—d2 Gb4×d2+	17. g3—g4! Sh5—f4⁵)
7. Hd1×d2 c7—c5?¹)	18. Sf3—g5 h7—h5
8. Sb1—c3 c5×d4	19. Sg5×f7!⁶) Sf4×g2
9. Hd2×d4 0—0	20. Hh4—f6 Hd8—c7⁷)
10. Wa1—d1 Sb8—c6²)	21. g4×h5 We8—f8
11. Hd4—f4 Sc6—e7	22. h5×g6 poczem mat w 2 posunięciach⁸).

Uwagi:

¹) Zupełnie błędnie strategicznie zagrano, gdyż białe wywierają teraz nacisk w centrum. Wystarczało do wyrównania gry: 7 . . . 0—0 i jeśli 8. S—c3 to S—e4.

²) Zanadto pasywne. Należało grać 10 . . . d5.

³) Za późno, gdyż białe dzięki pionowi e5 dochodzą do ataku na skrzydle królewskim.

⁴) Gdyby 15 . . . S—d7 to 16. S—g5 W—f8 17. e6! itd.

⁵) Lub: 17 . . . S—g7 18. S—g5 h5 19. Sc—e4! itd.

⁶) Kombinacja rozstrzygająca, dokładnie obliczona.

⁷) Lub: 20 . . . H—d7 21. e6 albo też: 20 . . . H—c8 21. S—g5 itd.

⁸) Doskonałe wykorzystanie błędnej gry w otwarciu.



U W A G A!

Sąd konkursowy rozpatrując nadesłane zdjęcia na III-ci konkurs fotoamatorski, uznał za stosowne — po raz drugi — nie udzielić nagród według warunków, ponieważ większość fotoamatorów podchodziła do tematu bez głębszego opracowania i należytego zrozumienia, mimo, że temat był bardzo prosty.

Wiele z nadesłanych zdjęć, tematycznie i kompozycyjnie zbliżonych do konkursowego tematu, usunięto od udziału w konkursie z powodu grubych błędów natury technicznej.

Zdjęcia nadesłane, a zatrzymane przez Redakcję w miarę możności ukażą się w I. K. P.

SZOPKA

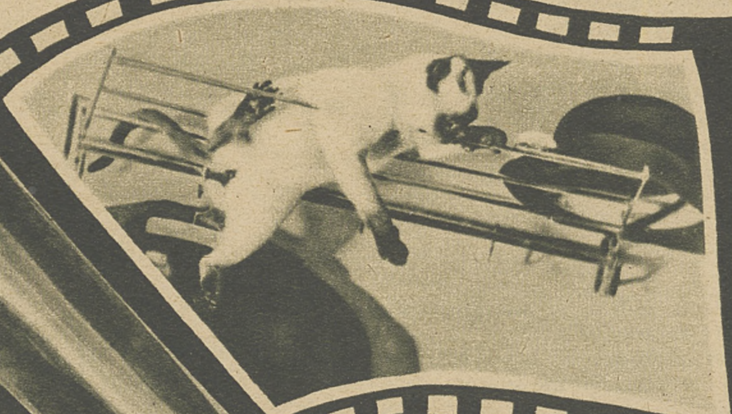
Pod każdym względem dobra kompozycja, wykonana przez p. Adama Kuleszę ze Lwowa. Aparat „Camera obscura“ własnej konstrukcji. Czas naświetlania 12 minut.

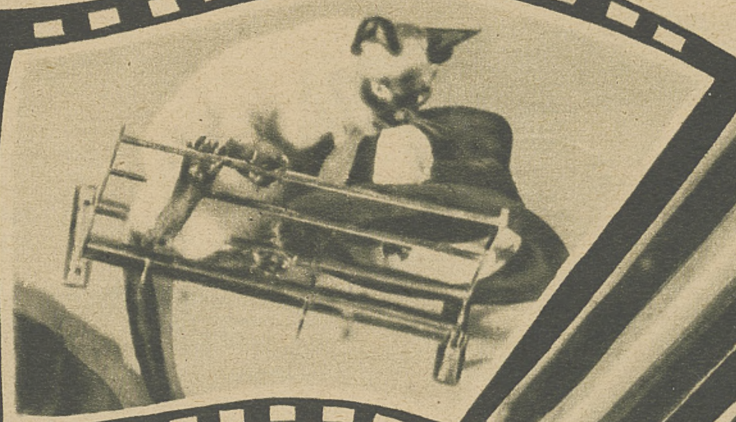
„PRZEDWIECZORNA MELODIA“

Pełne prostoty i wyrazu zdjęcie. Wykonała p. Regina Olek z Krosna. Aparat Zeiss Ikon, przysłona 8, czas naświetlania [illegible] sek.

FOTOAMATORZY!





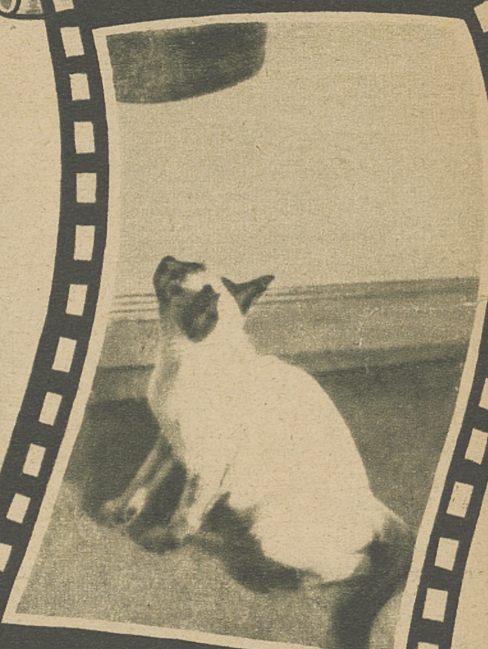
















Czy można wytresować kota? Czy można skłonić go do aportowania i innych sztuczek? Na to pytanie musimy dać odpowiedź raczej negatywną. Tresura kotów jest ciężką, a nawet niemożliwą. Kot bowiem jest jedynym bodajże zwierzęciem, które mimo oswojenia i obcowania z człowiekiem nie zatraciło swej indywidualności i nie pozwala sobą komenderować; robi tylko to co chce i należy mu pod tym względem pozostawić zupełną swobodę. Ileż ciekawych i charakterystycznych dla psychologii zwierzęcia rysów możemy wtedy podpatrzeć. Taką typową cechą wszystkich kotów jest ich upór i dzięki niemu zachował kot nawet w niewoli swą nieposkromioną naturę. Dlatego też np. aportowanie kota różni zasadniczo od aportowania psa. Pies aportuje na rozkaz swego pana, kot jednak przynosi rzucone mu przedmioty jedynie z własnej ochoty i to wtedy, gdy znajduje się w odpowiednim nastroju do zabawy. Należy jednak zaznaczyć, że skłonienie kota do aportowania zależy od sposobu życia i obchodzenia się z nim. Płochliwy kot, szczuty w domu i poza domem, kulący się ze strachu na widok zbliżającego się człowieka; nie wykazuje zbytniej ochoty do zabaw. Pierwszym warunkiem wyuczenia kota różnych sztuczek jest stworzenie mu warunków takich, w których zwierzę dobrze się czuje. Następnie należy uzbroić się w cierpliwość i obserwować, a nie zmuszać. Zwierzę rozbawione zacznie samo przynosić kulki z papieru, kłębki przędzy itp. przedmioty, gdyż zabawa ta odzwierciedla przyrodzony pęd kotów do łowów. Przyjaciele kotów dobrze wiedzą, że ich koty bardzo często i chętnie zdobycz swą przynoszą z pola do domu i przekazują się nią z pewną dumą przed swym panem czy panią. Zdjęcia, które obok reprodukujemy przedstawiają właśnie kota aportującego dobrowolnie piłeczkę rzuconą na półkę.

Fot. Atlantic

Sztuczka Mruczka